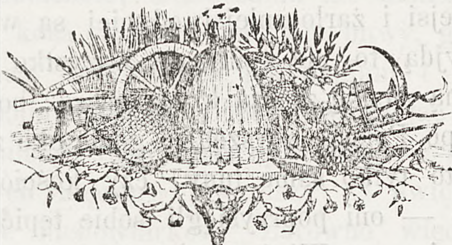
Tom IX. **Nr. 16.**

1. Grudnia **1863.**





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdeg miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Błogosławiony Andrzej Bobola.

Śmiało powiedzieć możemy mili bracia, że nie masz na tej ziemi żadnego narodu, któryby położył tyle prawdziwych zasług około św. wiary katolickiej jak my Polacy. Nasza nieszczęśliwa ziemia była ustawicznie przez kilkaset lat narażaną na okrótne napady pogan i heretyków; już to raz przez to, że oni chcąc podbić wszystkie narody chrześcijańskie koniecznie musieli przez Polskę przechodzić, gdyż tędy droga wiodła, powtóre że wielka potęga i chwała narodu naszego kłóła ich nie dobre serca, a obfitość i bogactwa nasze znęcały tych rabusiów jeszcze bardziej. Okropne to były takie napady! mocny Boże, kiedy człowiek sobie wspomni na nie, to aż włosy ze zgrozy powstają na głowie; jak gdyby chmury szarańczy spadali poganie na ziemię naszą, ale stokroć razy większe zostawiali za sobą spustoszenia, aniżeli ten owad zwany „plagą Bożą“; szarańcza zeżre wszystko — czy trawa, czy zboże — jej wszystko jedno, nie ma ona litości nad ludźmi, i ani myśli o tem, że biedni ludzie po jej odejściu mrą z głodu — ona tylko siebie patrzy,

tylko swój głód zaspakaja, a żarłoczna to bestya, kiedy po sobie zostawia pustkowie tam, gdzie dawniej zieleniła się bujna trawa, gdzie na zagonie giął się ku ziemi pełny kłos; aleź stokroć okrutniejsi i żarłoczniejsi od niej są wrogowie Polski; gdzie oni przyjdą to nie tylko że wszystko wyniszczą, ale jeszcze tę czarną ziemię zroszą krwią naszą, bo krwawe muszą być ich ślady po Polsce, a wszędzie gdzie oko zasięgnie wzdłuż i w poprzek, to tylko same łuny, czy kościół czy chata im wszystko jedno — oni poprzysięgli sobie tępić zarówno naszą wiarę, jako też i nas. Więc też wtedy powstawał cały naród jak lew rozżarty do walki w obronie najdroższych rzeczy: wiary i wolności; wróg był silny — stokroć od nas silniejszy i już nie raz zdawało się obcym, że mu ulegniemy, że okrutnik po trupach naszych posiędzie naszą Ojczyznę — ale naród ufny w Bogu nie tracił nigdy nadzieję, jeno ze wszystkich sił tępił okrutne plugawstwo, a Bóg dopomagał mu zawsze, gdyż szło tu o wiarę katolicką. W owym czasie wsławił się polski oręż, tak że inne narody wzywali nas na pomoc, kiedy i im zagrażali zagładą poganie. Przypomnijcie sobie tylko zwycięstwo naszego króla Jana pod Wiedniem, kiedy Turcy w zwycięzkim swoim pochodzie oparli się o mury stolicy cesarstwa niemieckiego. Król polski proszony o pomoc przez cesarza i ojca świętego chętnie wyruszył w pole przeciwko poganom i dognawszy ich pod Wiedniem pobił tak na głowę, że niezliczone wojska sułtana w dzikiej ucieczce jak który mógł zdążali do Tureczczyzny; od tego czasu nie ważył się Turek już nigdy targnąć na katolickie ludy. Aleźbo nie z jednym tylko Turkiem miała nasza Polska do czynienia — dzikszy jeszcze Tatarzy plądrowali, mordowali i rabowali po naszej ziemi, a prócz tych także największy okrótnik Moskal nie jednokrotnie targnał się na nas, chcąc wiarę naszą wytępić w sposób jeszcze bardziej dziki i okrutny, aniżeli Turcy i Tatarzy. Dodać jeszcze należy, że prócz tych wrogów Szwed z zamorza także nas napadał. Przeciwko tak licznym wrogom musiała nasza Polska przez całe wieki mężnie walczyć, ażeby siebie i inne ludy chronić przed pogaństwem; cały świat i ojciec święty uznawali te wielkie zasługi nasze i jawnie przed światem zwali Polskę

„przedmurzem chrześcijaństwa“ a naród nasz narodem męczeńskim za wiarę. I słusznie — bo każdy Polak — a rozumie się tutaj zarówno szlachcic, mieszczanin lub kmieć — wyruszając z mieczem lub kosą w dłoni na pole bitwy, ginął za wiarę i był męczennikiem — zarówno jak kapłani i tacy, którzy do boju byli niezdolni, słowem Bożem zwalczając moc szatańską, nauczając i opamiętywając zażartą wściekłość heretyków ginęli wśród okropnych męczarń i katuszy za świętą wiarę, kiedy popadli w ręce niedowiarków. Zarówno więc tak walczący mieczem, jak walczący słowem Bożem byli męczennikami św. wiary — a słusznie cały naród zwie się męczeńskim narodem, bo wszyscy zwalczają wspólnie szatana.

Jednym z tysiąca takich męczenników był także błogosławiony Andrzej Bobola, kapłan katolicki, który słowem Bożem walcząc za wiarę, zginął okrutną śmiercią męczeńską. O jego to życiu i męczeństwie chcemy wam, mili ludkowie conieco opowiedzieć, ażebyście wiedzieli jak to nasi przodkowie lekce sobie ważyli życie, kiedy chodziło tylko o rzecz świętą. Posłuchajcie:

Rodzina Bobolów z dawnych bardzo czasów odznaczała się w Polsce z wielkiej pobożności, cnoty, rozumu i odwagi rycerskiej. Jeszcze za panowania Władysława Łokietka — ojca króla Chłopków, zasłynął z sztuki rycerskiej Jakób Bobola, który pomimo tej cnoty wielce Boga miłował i przedewszystkiem był najwierniejszym katolikiem. Piękną zostawił on po sobie pamiątkę, odbudował bowiem z cegły walący się ze starości kościół Wszystkich Świętych w Krakowie. Prócz Jakóba cała ta rodzina, jako rzekliśmy, była bardzo bogobojną, dlatego też nasi dobrzy królowie polscy ceniąc należycie tę najwyższą cnotę, zaszczycali ją swoją przyjaźnią i najwyższe jej oddawali urzędy. Z takiej więc rodziny pochodził nasz Andrzej. Już w dziecięcym wieku miał on głęboko w sercu wkorzenioną bojaźń i miłość Bożą, zda się jakoby to wszystko wyssał z piersi matczynej, a im więcej wzrastał w lata, tem bardziej jeszcze krzewiły się w nim te cnoty. Wielce cieszyli się rodzice takiem chłopięciem, a ich przyjaciele wynosili dziecię dla rzadkiej pobożności i rozumu aż pod niebiosa i już teraz poczęli przepo-

wiadać, że jeżeli chłopię dalej na tej drodze będzie postępować, zostanie pewno znakomitym człowiekiem, który nie tylko własnej rodzinie, ale całemu narodowi chlubę przyniesie. Ojciec Andrzeja żył w wielkiej przyjaźni z możnym panem hetmanem Janem Tarnowskim, który dowiedziawszy się od ludzi o rzadkiem chłopięciu, prawie siłą mocą zmusił ojca Andrzejowego, iż tenże przystał na to, że na wychowanie oddał syna na dwór hetmański.

— Panie Krzysztofie — mówił hetman pocieszając ojca — nie frasuj się wcale, syn twój nie zginie, a ja potrafię być mu ojcem; a wszakże i ty nie mieszkasz tak bardzo za górami, spodziewam się, że często do mnie zagaszczać będziecie; dlatego jedynie zabieram ci syna, ażeby nie zmarniał w zaciszy domowej strzechy, u mnie będzie miał sposobność czegoś się nauczyć, a kiedyś, jak Bóg dopomoże, będzie pożyteczny Ojczyźnie.

Wziął więc hetman do siebie młode pacholę, które w krótkim czasie tyle tam się nauczyło wszystkiego, że wszyscy poczęli się dziwić i nikt nie chciał dać wiary temu, żeby w tak krótkim czasie można się tyle wyuczyć. Z dnia na dzień stawał się nasz Andrzej mędrszym, a kiedy rozgłos o jego rozumie doszedł uszu królewskich, dostał się w końcu na dwór króla Stefana, który podówczas siedział na polskim tronie. Tutaj mając jeszcze więcej sposobności do nauki dniem i nocą przykładał się nasz Andrzej do xiążki. A kiedy król Stefan wyruszył na wojnę przeciwko Moskwie, nie został on w domu mimo wątłego zdrowia, jeno przy boku samego króla pospieszył z mieczem w dłoni przeciw szyzmatykom, których dla ich odszczepieństwa nie cierpiał. Po skończonej wojnie wrócił napowrót na dwór królewski i wziął się znowu do nauk, do których miał dziwnie wielką ochotę. W krótkim czasie pokończył wszystkie szkoły i jął się potem uczyć na xiędza, gdyż już w pacholęcym wieku miał największy urok dla niego stan duchowny. Skończywszy tę naukę z wielką pochwałą nauczycieli, wdział na się sukienkę zakonną i wstąpił jako braciszek na nowicyat do klasztoru OO. Jezuitów. Po dwóch latach został w Wilnie, mieście litewskiem, wyświęcony na kapłana w tymże

zakonie, a w krótkim nazbyt czasie zasłynął z wielkiej pobożności i rozumu nie tylko w samem mieście, ale po całej Polsce, a zakon OO. Jezuitów począł się młodym zakonnikiem chlubić przed całym światem.

Pod słońcem nie było w świecie kapłana, który był by gorliwszym w wypełnianiu swoich obowiązków aniżeli Andrzej. Modlił się zawsze ze łzami w oczach, upośledzał swoje ciało, jednem słowem żył tylko w Bogu. Kilka razy na tydzień miewał on w klasztorze wileńskim OO. Jezuitów kazania do ludu, a lud garnął się wtedy do kościoła i z otwartem sercem słuchał słodkie i ujmujące swojego kaznodziei słowa Boże, któremi on zbrodniarzów na drogę pokuty i cnoty naprowadzał, obojętnych w modlitwie skłaniał do pobożności, skąpych namawiał do miłosiernych uczynków, zwaśnionych godził. W wolnych chwilach od obowiązków i modlitwy nawiedzał szpitale i ubogich chorych po domach. Gdzie mógł, gdzie tylko jego siły starczyły, tam pomnażał chwałę Bożą i pełnił chrześcijańskie uczynki, a to wszystko zjednało jemu taką prawdziwą miłość u ludu wileńskiego, że kiedy król Zygmunt III, który po Stefanie zasiadł na tronie, znając wielką cnotę i rozum Andrzeja chciał go mieć przy swym boku, lud ten ze łzami począł błagać króla, ażeby mu takiej krzywdy nie wyrządzał zabierając na swój dwór Andrzeja. Dobry król wysłuchał prośbę swoich poddanych i zostawił im ulubionego kapłana, któremu atoli Pan Bóg nie długo pozwolił tutaj zostawać. W niespełna rok potem poczęła się rzerzyć po Litwie wielka morowa zaraza; okropne nastały w pięknej krainie czasy: codzień setkami ginęli ludzie, wszędzie gdzie tylko okiem zasiągniesz same trupy i trupy sine jak błękit nieba, z białkiem zaszłemi oczyma, z wykrzywionemi z wielkich boleści ustami — same trupy! a wszędzie w koło słychać płacz gorzki i rozpaczne żale pozostałych nad zwłokami zarazą tkniętych.

Owoż więc w tak ciężkiej potrzebie wzięli xięża na siebie chrześcijański obowiązek ratować nieszczęśliwych; zaś pomiędzy wszystkimi najbardziej odznaczał się niezmordowany i niczem nieustraszony w tej niebezpiecznej pracy właśnie nasz Andrzej. Gorliwość jego w niesieniu pomocy chorym była tak ogromną,

że wszyscy się dziwowali, ażali człowiek coś podobnego czynić może; w każdej chwili i na każde zawołanie pospieszał on do chorego, choćby i o pół nocy — przyszedłszy nie odstępował już łoża ani na chwilę, a na własnych barkach znosił tkniętych zarazą do szpitalu; prócz tego chodził on po domach możnych panów i zbierał jałmużnę na pogrzeby, na zapomogę sierotom i wdowom a nie wstydził się najpośledniejszych posług spełniać własnemi rękami — usługiwał w szpitalach i izby zamiatał; co tylko mógł to czynił dla biedaków, a wtedy tylko ustawał w pracy, kiedy po kilku nieprzespanych nocach nie miał już siły utrzymać się na nogach i oczy same zwierały się do snu. Dziwili się wszyscy tej odwadze i takiej uciążliwej pracy, więc też nie raz dogadywali Andrzejowi ażeby siebie choć trochę szanował i nie narażał się na takie niebezpieczeństwa.

— Ja się nie boję — odpowiadał on wtedy — mnie strzeże Pan Niebieski, a właśnie dlatego, że spełniam chrześcijańską powinność względem moich bliźnich. Wierzę, że śmierć znajdzie prędzej takiego, który się przed nią za piec chowa, aniżeli takiego, który z narażeniem swego życia spełnia dług święty Bogu i Ojczyźnie.

Król znając zasługi takowe, zrobił Andrzeja przełożonym klasztoru OO. Jezuitów w Bobrujsku. Skromny mimo swych zasług i rozumu li tylko dlatego przyjął to starszeństwo nad swoją bracią, bo mniemał, że będzie mógł więcej jeszcze czynić dobrego dla biedaków. Właśnie podówczas srogi Moskal, wróg najzaciętszy naszej katolickiej wiary począł srodze prześladować xięży i w ogóle wszystkich katolików w okolicach Orszy i Smoleńska, wypędzani wszyscy schraniali się do Bobrujska do Andrzeja, który się z nimi ostatnim kęsem chleba dzielił, jak to zawsze było w jego naturze.

Pięć lat pozwolił mu Pan Bóg tutaj przebywać w spokoju — po tym zaś czasie powołał go stwórca do innej pracy, bowiem podówczas szyzmatycy Moskale poczęli lud bałamucić i nawracać na swoją wiarę; Andrzej widząc to wszystko mocno zabolał nad takiem zgorszeniem i postanowił słowem Bożem walczyć przeciwko herezyi — udał się więc w tym celu z Bobrujska w okolicy Pińska, gdzie najbardziej grasowała błędna

nauka. Tutaj za pomocą pińskich OO. Jezuitów i możnego a gorliwego św. wiary obrońcy Alexandra Radziwiłła w krótkim bardzo czasie powrócił kościołowi bardzo wiele zbłąkanych owieczek. Najzaciętsi wrogowie miękli, kiedy Andrzej ze zwykłą sobie prostotą jął im opowiadać naukę katolicką, a jak dawniej byli zaciętymi przeciwnikami, tak teraz znowu stawali się najżarliwszymi obrońcami. Aże się wściekali szyzmatycy ze złości patrząc na to wszystko, przyczynę zaś tego widzieli u Andrzeja, więc jęli na niego podburzać, chcąc go się pozbyć koniecznie, gdyż jedynie w jego śmierci widzieli swoje zwycięztwo. Atoli z mieszkańców tamecznych nikt nie śmiał się targnąć na męża Bożego. Zdarzyło się, że wtedy byli kozacy napadli na Polskę — dziki ich dowódzca Anton szyzmatyk plądrując po Polsce, mścił się na katolikach i gdzie tylko napotkał jakiego kapłana, zabijał go w sposób okrutny. Za namową pińskich szyzmatyków wpadli tamże rozjuszeni kozacy Antonowi i wszczęli tutaj rzeź okropną, bo nie tylko kapłanów, ale nawet dzieci i niewiasty mszcząc się nad niemi mordowali okrutnicy. Podczas tego mordowania bawił nasz Andrzej w niedalekiem miasteczku Janowie, dowiedziawszy się o wszystkiem postanowił czcigodny kapłan nie ruszając się z miejsca czekać śmierci, jaką mu Pan Bóg przeznaczy, ale lud przywiązany do niego nie pozwolił na to, jeno wsadziwszy Andrzeja no wózek, wyprawił go w bezpieczne miejsce. Kozacy uprzedzeni o wszystkiem przez szyzmatyków wysłali pogoń za zmykającym, która go też na drodze dognała. Andrzej widząc, iż popadł już w ręce heretyków złazi coprędzej z wózka, klęka i poczyna się gorąco modlić do Boga.

— Niechaj się stanie — kończył on modlitwę — Twoja wola wszechmocny Boże! i powstał i oddał się sam w ręce swoim oprawcom.

— Głupi popie — rzecze bluźnierczo jeden z kozaków — słuchaj co ci powiem: zrzecz się twojej wiary, a przyjm naszą, to ci darujem życie, i zrobim ciebie naszym władyką.

— Precz pokuso! — zawołał Andrzej — oto mnie macie, zabijcie mnie, bo ja pragnę umrzeć za moją wiarę.

— Cha.. cha.. — poczęli się śmiać kozacy nie pojmując taką świątobliwość — czy on zwarjował, czy co mu się stało.

— Słuchaj — rzecze drugi — tyś nas pewno nie wyrozumiał, my ci chcemy darować życie.

— Czyż wy myślicie, że ja się lękam śmierci? Polak i katolik nigdy się jej nie zlęknie, umrzeć za wiarę jest tak słodko!

Po tych słowach rzuca się jeden z oprawców na kapłana i zadaje mu nożem głęboką ranę w rękę; jakby na dany znak rzucają się teraz inni i obnażonego Andrzeja uwiązawszy go do płotu poczynają bić nahajkami tak okrutnie, że rolnicy opodal orzący przestraszyli się na sam odgłos i porzucali swoje pługi. Potem odwiązawszy zbitego zarzucili mu jak psu powróz z dwoma końcami na szyję i dwóch konnych ująwszy owe końce powrozu pędzili go do Janowa, kiedy znowu trzeci w tyle jadący kłół Andrzeja dzidą w plecy, gdy tenże zmęczony zwalniał krok. W Janowie stawili go kozacy przed swojego setnika czyli Assawułę, który powtórnie napróżno usiłował go namówić do szyzmatyckiej religii, poczem gniewem zapalony dobył swej krzywej szabli i zmierzył w głowę, którą byłby okrutnik na poły rozpłatał, gdy mąż Boży nie był się ręką zasłonił, w którą natomiast otrzymał wielką ranę — po chwili rzucił się Assawuła powtórnie na Andrzeja i zadał mu ranę w nogę, poczem on osłabiony przez upływ krwi upadł na ziemię. Teraz przybiega jeden kozak i końcem szabli wyłupia oczy męczennikowi i wieczna ciemność wśród nieznośnych bólów ogarnia męczennika — a krew ciurkiem lać się poczyna z miejsc gdzie dawniej były oczy.

Ależ nie koniec na tem, posłuchajcież jak dalej jeszcze znęcała się wściekła dzicz nad umęczonem już ciałem Andrzeja.

Na rynku w Janowie stał mały budynek, od dawnych czasów służył on za rzezarnię i za jatki; wierżch tego budynku był mierzwą pokryty, a ściany były na oścież otwarte czterem wiatrom; po tych więc wszystkich mękach zawleczono tutaj wpółżywego i obnażywszy go łuczywem rozpalonem opiekali boki i piersi męczennika, następnie nożami oberznęli

mu skórę na głowie i z wielkiem okrucieństwem zdzierali ją do pasa, a kiedy Andrzej wśród takich męk wielkich cierpliwie szeptał sobie cichą modlitwę, oprawcy jeszcze bardziej się rozwściekli i obcięli mu wargi. Następnie ubrawszy konającego w ornat na pośmiewisko powiesili go za włosy na drzewo i ze zwierzęcą radością urągali wiszącemu w powietrzu mówiąc szyderczo:

Patrzcie jak katolik skacze!

I śmieli się przeraźliwie jak gdyby zębami zgrzytali szatani, i poczęli śpiewać tak dziwnym głosem, że ze zgrozy włosy wstawały na głowie — i długo tak biesiadowali sobie przy konającym, aż pisk puszczyka z wieży kościelnej przeraził wesołych kozaków tak dalece, że krzycząc z rozczuchranemi włosami rozbiegli sią ze strachu po mieście. Jeden tylko Assawuła zachował krew zimną — i nie dziw też, boć to twarde serce, twardsze aniżeli najtwardsza skała, a ręce jego więcej się myły krwią ciepłą, aniżeli siną wodą Dniepru. Więc przystąpił Assawuła do Andrzeja i odwinąwszy szablę ciął go w głowę i męczennik oddał Bogu ducha swego.

— Niechaj od mojej szabli ginie — mówił on w tej chwili.

Taką to okropną śmiercią zginął błogosławiony Andrzej Bobola.

Kiedy to się działo, w całem mieście jak gdyby sądny dzień nastał; kozacy upici i rozwściekleni, gdzie kogo zdybią tylko, mordują w sposób okrótny, gdzie tylko wejdą rabują a po odejściu podpalają; wśród ciemnej nocy rozwidniało się jak gdyby w południe, a krew ciekła strumieniem. Dopiero nazajutrz skończyło się to krwawe gospodarowanie — po trzech dniach odprawiono pogrzeb umęczonemu Andrzejowi, poczem zwłoki złożono w kościele farnym — wszyscy na pogrzebie obecni zanosili się od wielkiego płaczu W kilka dni potem OO. Jezuici zabrali czcigodne ciało do Pińska i złożyli takowe w kościelnym grobowcu, który atoli wraz z kościołem przez Tatarów spalonym został zniszczony, albowiem wszelkie wchody zatarasowały się rumowiskiem; dopiero w roku 1701 odbudowano św. kościół i zakonnicy zmuszeni przedtem szukać sobie

gdzie indziej schronienia, osiedli tutaj znowu. Jakoś z czasem poszło w zapomnienie, że właśnie w Janowie znajdują się zwłoki błogosławionego, aż oto pewnego czasu jawi się we śnie xiędzu Godebskiemu błogosławiony Andrzej i rzecze do niego:

— Ja jestem Andrzej Bobola, brat wasz: umarłem wśród nieznośnych katuszy męczony przez kozaków za wiarę, jak na katolika i Polaka przystało. Zwłoki moje spoczywają w podziemiach waszego kościoła — z woli Bożej szukajcie je. Owoż po tem zjawieniu zajął się xiądz Godebski poszukiwaniami, atoli tą razą nie podobna było odszukać najdroższego skarbu. Trzeciej nocy ukazał się błogosławiony powtórnie zakrystyjanowi i rzekł doń wyraźnie:

— Zwłoki moje znajdują się w podziemiu kościelnem, po lewej stronie od wielkiego ołtarza, tam je niezawodnie znajdziecie.

Nazajutrz z rydlem w ręku udał się rzeczony zakrystyjan na wskazane miejsce i z wielką uwagą począł szukać — jakoż w nie długim czasie znalazł trumnę jedną na której złocistemi literami było coś napisanego. Po odczytaniu napisu pokazało się, że to są zwłoki Andrzeja, a jak się potem nareszcie przekonano, zupełnie nienaruszone, a lud, który się do tej świętości w wielkiej liczbie garnął, doznawał najrozmaitszych cudów.

Tak to moi mili jak widzicie, umieli nasi przodkowie z wesołem obliczem ponosić śmierć, choćby najokrutniejszą, za wiarę i Ojczyznę. Pamiętajmy o tem:

Żeby nasze dzieci małe
Ojców swych się nie wyparły —
Żeby męże dawnej chwały.
Nie rzekli nam: karly!

Teraz zaś na zakończenie prośmy w pokorze błogosławionego Andrzeja Bobolę, ażeby się wstawił za nami do Boga, iżbyśmy się wszyscy stali godnymi synami naszych wielkich przodków i tej biednej Polski, którą pustoszy i uciemięża dziki Moskal — prośmy go gorąco, ażeby zjednał walczącej za wiarę braci naszej zwycięztwo nad ciężkim wrogiem.

Grzela z Waszkowiec.

Syn wdowy.

Miała wdowa synala —
A wielkiego drągala!
Że ze świecą po świecie
Mało takich znajdziecie!
Nad zuchami był to zuch —
Nic nie robił, jadł za dwóch!

Oj już słonko wysoko.
A Jaśko spi głęboko —
W polu kośby daj Boże,
Leń się zbudzić nie może;
I wciąż chrapie i wciąż spi,
A o wódce słodko śni.

— „Wstańże synku kochanie,
Boć nam chleba nie stanie!
W polu sypią się kłosy —
A jam stara do kosy!"
— „Czyż przestaniesz matko pleść?
Wstanę ale daj co jeść."

Senne oczy przeciera.
Do jadła się zabiera:
Jadł i golił gorzałę.
Aleć zawsze zaspały.
Potem w pole poszedł zuch,
Kiedy poprzód zjadł za dwóch.

Żółty kłos aż się prosi,
A nasz Jaśko spiąc kosi —
Kosząc mierzwi on zboże,
Że aż pożal się Boże!
Górą tylko kłosy tnie —
A wciąż sapie, jak w miech dmie.

A gdy przyjdzie niedziela,
Toć się spije jak bela.
Na śmiecisko karczemne
Zatacza się — przyjemny
Pośród smrodów miewa sen,
Na śmiech ludzi w biały dzień. —

Płacze matka w komorze —
Wczasu — hulaj nieboże!
Już trzeci dzień nic nie je,
Jak trup jaki bieleje;
Ty nie pytaj — hulaj — pij:
Do południa sobie spij!

Czemuż jęczą tak dzwony?
Czemuż kraczą tak wrony?
Xiądz i ludu tak wiele!
Może jakie wesele?
Lecz gdzie skrzypka i bas gdzie?
I cóż znaczy tych łez dwie?

Ach, to pogrzeb jest wdowy
Biednej matki Jaśkowej!
Xiądz w ornacie na przedzie
Na smentarzyk ją wiedzie —
I złożono trumnę w grób —
W ciasny grób, w ciasny grób.

Jaśko teraz z rozpaczy
Pędzi żywot tułaczy —
Krwawa bieda go gniecie,
Gorżko płacze po świecie:
Za nim goni matki cień
Blady, straszny — w noc i w dzień!

Grzela z Waszkowiec.

Piękne przykłady.

Gromada w Krościenku.

Com widział na własne oczy dobrego po wsiach, to Ci opisuję panie pisarzu! Otóż w Krościenku koło Krosna, widziałem porządek między ludem. Patrzę! a tu ze starego kościoła, co go jeszcze fundował król polski Kazimierz Wielki z modrzewia, zrobił się tak, jak nowy kościół. — Gromada złożyła ofiary, i pomalowała calutki kościół, nawet go przedłużyła o starą dzwonicę i będzie o dwa ołtarze więcej w staropolskim domu bożym. Gromada nazwoziła kamieni wielkich i zrobiła tamę kamienną, aby im woda Wisłoku nie zabrała tej starej świątyni — wymurowała brzeg cały, jak długi kościół i jest tam teraz tak pięknie i dobrze zrobione, że woda żadna nie zrobi szkody kościołowi, a trumny stare nie wylecą do wody.

Jeszcze i dziś robi gromada składki, aby posprawiać chorągwie, ornaty i co jeno potrzeba do domu bożego. Osobliwie wypisuję Ci tu po imieniu gazdę Lorenca za Wisłokiem, który sypie i po 200 reńskich na ten dom boży. To też uradowało się serce moje, jak mi xiądz tamtejszy powiedział, że dotąd nie ma wypadku, aby kto z gromady powrócił do gorzałki od czasu zaprowadzonej wstrzemięźliwości. I widzisz panie pisarzu! że to dowód oczywisty błogosławieństwa boskiego! boć co dawniej przepijali gazdowie, to teraz idzie ziarnko do ziarnka i zrobiła się miarka, i stanął kościół jakby nowofundowany. Jest tam i szkoła w tej wsi i da Bóg, że będzie kiedyś dobra szkoła, jak jeno skończy się robota koło kościoła, boć to po kościele to szkoła najważniejsza rzecz. I Pan Jezus i Apostołowie nie uczyli ludzi jeno po kościołach samych, ale po domach na wsi i w mieście, na polu i gdzie się jeno przytrafiło. W każdej wsi powinna być dobra szkoła! I to Ci piszę panie pisarzu, że mówił mnie tamtejszy xiądz dziekan, iż nie ma pamiętnika o złodzieju jakim na całą gromadę. Widzisz więc, co to znaczy zgoda i zmowa na dobre! porobiła gromada z xiędzem drogę przez wieś od końca do końca, aż miło przejechać tamtędy —

jest nowy smentarz na górce, że go widać z całej wsi rano i wieczór — a choć nie ma gruntów wielkich i dobrych w gromadzie, choć luda dużo, to nie ma dziadów i darmojadów, bo każdy robi i składa, a gdzie trza na chwałę Bożą i zbawienie ludzi, to każdy rzuca po krajcarku. Jeno jedna paskuda i publika cięży dotąd na gromadzie z czasów rabacyi, bo byli i tu parszywi i głuptacy rozmaici! Ale się poprawili teraz, to niech to idzie w zapominek u Boga i u ludzi. Dla tego Ci panie pisarzu o tem piszę, bo mię to cieszy, kiedy moi krajanie robią po bożemu — ja ich rodak i wychowałem się w tej wsi — oni mię znają jako sierotę, ja im głowy ściskał na prymicję, ale za rabacyę bolało mię dotąd na nich moje serce — a teraz zapomnę o tem, kiedy oni się poprawili.

Dał też gromadzie Bóg dwór dobry i uczciwy i pamiętają też ludzie dotąd nieboszczkę panią i kochają i teraźniejszą panią — dał i xiędza dobrego, który już przeszło 20 lat pracuje dla zbawienia gromady. Otóż niech też cały świat wie o tem, że gromada Krościeniecka trzyma się pięknie i ładnie teraz i może nie jednej wsi i Grodziszczanom kłótnikom posłużyć za przykład i naukę.

Niech im Bóg dopomaga i prowadzi tak dalej coraz lepiej a lepiej, aż zajdą do Nieba i ja im tego życzę.

Dnia 25 Listopada 1863.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Nabożeństwo we Frysztaku i Łączkach.

Toć już każdy o tem wie, że nasz ludek wiejski coraz rozumniejszy, i że go niełatwo już bałamucić złemi a nieuczciwemi gadkami. Oto naprzykład piszą nam taki list z Kobyla:

W naszej okolicy jużby się roześmiał gospodarz gdyby mu kto powiedział: że Polacy rznąć będą, a przecież dawniej takie złośliwe głupstwo czepiało się głowy i rzucało strach okrutny. Dzisiaj ludek już rozumie, że sam jest Polakiem, bo na pol-

skiej ziemi urodzony, z niej żyje, polskim językiem mówi i do Najświętszej Królowej Polski modli się, dla tego już się nie boi Polaków, a widzi że Polacy są braćmi jego. Piękny przykład o tem, który zasługuje, aby o nim wszyscy wiedzieli, chcę Wam opisać. We wojnie z dzikim Moskalem, który łupi i plugawi kościoły, porywa biskupów, morduje xięży, panów, mieszczanów i wieśniaków, pali miasta i wsie a lud pędzi na Sybir, gdzie wieczna jest zima, słowem chciałby wytępić naród polski, zginął w bitwie Seweryn Zwoliński dziedzic z Kobyla dnia 21 października pod Jurkowicami. Skoro o tem usłyszeli Kobylanie, gorzko się popłakali i poszli do dworu gdzie mieszkają rodzice zabitego, użalili się nad nimi i powiedzieli im: Mój Boże! poco to było panu naszemu iść na Moskala, czemu nam nie powiedział o tem, a bylibyśmy za niego wysłali trzech chłopaków, coby Moskala tłukli, a możeby wszyscy nie zginęli, a gdyby i tak się stało, to nas jest dosyć i mielibyśmy pana naszego, który zawsze dobrze radził i był dla nas dobrym. Potem poszli do Frysztaku i dali xiędzu proboszczowi na mszę świętą za duszę świętej pamięci Seweryna. Jakoż 10 listopada było wielkie nabożeństwo, na które zjechało się dużo panów i pań, zeszli się mieszczanie i pełno luda z Kobyla. A kiedy xiądz z ambony przemówił, tak się wszyscy popłakali, że głośny jęk i szlochanie było w kościele. O nabożeństwie tem dowiedzieli się włościanie sąsiedni z Łączek i zaraz uradzili, aby i u nich odbyło się nabożeństwo za wszystkich przez Moskala pomordowanych. Rozumie się, że xiądz miejscowy rad był temu, i dlatego 17 listopada odprawiło się nabożeństwo, o którem ojcowie długo dzieciom opowiadać będą. Nabożeństwo było takie: W kościele zakryto wszystkie okna, na środku stał katafalk z trumną. Na około poustawiano kwiaty i drzewka jodłowe. Przed trumną umocowano na krzyż dwie kosy, któremi włościanie polscy tego prażą Moskala. Na trumnie był wieniec cierniowy na znak okrutnej boleści naszej, szabla, czapka rogata, xięża stuła i kielich, bo nabożeństwo było za wszystkich pomordowanych, a jest między nimi dużo xięży, dużo włościan, dużo mieszczan i panów, tak że się ich tylko Pan Bóg na strasznym sądzie doliczy. Cały katafalk płonął

od światła, a stało przy nim sześć dziewcząt wiejskich w żałobnem ubraniu ze świecami w ręku. Xięży zjechało się 20, to też od rana do drugiej godziny z południa bez ustanku wychodzili ze mszami świętemi. Ze wszystkich dworów na kilka mil przybyli panowie z żonami i dziećmi, a ludu wiejskiego nabiegło tyle, że napchany był kościół. I tutaj xiądz powiedział naukę z ambony, a mówił tak serdecznie i takie prawdy, że wszyscy szlochali na głos i zachodzili się od płaczu.

Przed końcem nabożeństwa jeszcze się odezwał drugi xiądz, i przypominając za kogo się modlimy, podziękował Łączkowianom, że za ich staraniem takie odbyło się nabożeństwo i mówił także, iż ono z pewnością wyjedna nam zmiłowanie boże. Aby razem poratować i tych co w walce za wiarę i Ojczyznę zostali kalekami, była składka po kościele. Odbierała ją na tacę dziewczyna wsiowa w żałobie, a szli za nią ze świecami xiądz miejscowy, pan którego dla jego dobroci i poczciwości wszyscy bardzo szanują, i wójt z Łączek. Nie można było patrzeć na to bez rozczulenia, tak to chwytało za serce, że gdzie idzie o wiarę i Ojczyznę wszyscy się łączą i wszyscy się czują dziećmi jednego kościoła i jednej Ojczyzny. Znaczna też była składka, bo we Frysztaku i Łączkach uzbierano 189 reńskich i 70 krajcarów.

Tak więc modliliśmy się za umarłymi, przynieśliśmy pomoc nieszczęśliwym i wyszliśmy z kościoła z nadzieją w sercu, że Bóg się zmiłuje nad uciśnionymi braćmi i da pokój wieczny duszom tych, co krew swoją wytoczyli za wiarę i ojczyznę. Naostatek wszyscy poznali, że włościanin, pan i xiądz są braćmi na polskiej ziemi. A to wszystko stało się za pomocą poczciwych Łączkowian i dlatego cały kraj znać, szanować i kochać ich powinien. Daj Boże! aby takich Łączek było dużo na ziemi naszej, bo wtedy przepadłyby zawiści, zazdrości i nieufności, a cały kraj nasz byłby taką Łączką, która w miłości i jedności łączy wszystkich.

Z nad Wisłoka 19 listopada 1863 roku.

RÓŻNOŚCI.

Nowy kalendarz dla ludu polskiego. Wydrukowano w Warszawie nowy kalendarz dla ludu, podobny do tego, o jakim wam tamtego roku pisaliśmy. Jest w nim najpierw zwykły kalendarz, a dalej także wiele innych ładnych opowiadek i nauk. Są także obrazki piękne dodane, i cała xiążeczka jest dość znaczna, a przecież kosztuje tylko tyle, co kalendarz tamtoroczny, to jest 40 centów. We Lwowie kupić go można albo zapisać sobie u pana xięgarza Karola Wilda.

Jasnowidzący. Piszą tak o jednym jasnowidzącym, który jest w Poznańskiem:

Pewien włościanin polski, gospodarz z bliskiej okolicy, powiózł na targ do Gniezna parę korcy zboża, sprzedał, pieniądze schował, do kieszeni, i w jakimś szynku się posilał, a podobno i trunku zażył, aż też i usnął siedząc za stołem. Obudziwszy się pospiesza do koni, czas powracać do domu; sięga do kieszeni by zapłacić karczmarce, ale o zgrozo! pieniędzy niema. Przeszukuje wszystkie kieszenie, wóz, miejsce gdzie siedział w izbie; pyta, wyrzeka, niema pieniędzy; nareszcie daje znać do policyi, że go okradziono, i wraca strapiony późno do domu. Tymczasem kiedy jeszcze był w mieście, a żona się kłopotała w domu, iż tak długo mąż nie wraca z targu, powiada syn, chłopczyna kilkoletni:

— Matusiu, ojciec w mieście płaczą i biegają, bo mu pieniądze ukradli, ja widziałem.

Zdziwiła się matka, ale myślała, że on tak sobie baje na próżno jak dziecko, aż kiedy powrócił zmartwiony gospodarz, i opowiedział swoją sprawę, zadziwili się oboje, i poczęli syna pytać; a ten opowiedział swoje jasnowidzenie z takiemi szczegółami, iż ojciec osłupiał, bo chłopiec wiedział, jakie były pieniądze, widział i opisał złodzieja, tak, że nazajutrz ruszyli wszyscy do Gniezna. Tam udał się włościanin z chłopcem najprzód do policyi, gdzie się najpierw śmiano z niego, ale wreszcie na zaręczenie chłopca, że pozna złodzieja, który był żołnierzem z tamecznej załogi, udali się do komendanta, który przez ciekawość kazał stanąć załodze do apelu. Chłopiec wkrótce wskazał widzianego wczoraj żołnierza, wyciągającego ojcu z kieszeni pieniądze, i zaraz dodał, że je ma przy sobie, takie a takie, i że 4 złote wydał tam a tam. Wszystko się okazało prawdziwem.

Ta dziwna sprawa wszystkim strasznie poszła do głowy, a ktoś zapytał chłopaczka, kiedy będzie Polska? Odpowiedział on na to: *„gdy się żyto zacznie wygrawać“*,.... a więc około czerwca.

Redaktor: **B. Kalicki.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**